

SECOJA

MATEUSZ KACZYŃSKI ŻYĆKO



**MATEUSZ
KACZYŃSKI
ŻYĆKO**

5EQ011

Redakcja

ELŻBIETA KUSZMIDER

Korekta

KATARZYNA KRZAN

Okładka

ZOFIA STYBOR

Zdjęcie na okładce

MATEUSZ KACZYŃSKI

Skład

KATARZYNA KRZAN

Druk i oprawa

Bookpress.eu

Copyright © by Mateusz Kaczyński 2026

Copyright © for this edition by

Wydawnictwo Seqoja 2026

ISBN druk: 978-83-67935-58-6

ISBN e-book: 978-83-67935-59-3

Wydawnictwo Seqoja

ul. Żołnierska 11B/20, 10-558 Olsztyn

tel. 534 834 852

e-mail: info@seqojawydawnictwo.pl

www.seqojawydawnictwo.pl

Olsztyn 2026

wydanie I

Zacząłem pisać „Żyćko” około dwunastu lat temu. W 2014 roku dołączyłem do ekipy „Pańskiej Skórki – subiektywnego bloga o Warszawie”, na którego łamach dzieliłem się spostrzeżeniami o stołecznej rzeczywistości. Warszawa dziesięć lat była zupełnie inna niż dziś. W niedziele handel odbywał się bez przeszkód do godzin późnowieczornych, druga linia metra była dopiero w budowie, a o porządku na Placu Defilad mogliśmy dopiero pomarzyć. Pracowałem w wielkich międzynarodowych korporacjach, których biura mieściły się w śródmiejskich wieżowcach. Kilka razy w tygodniu krążyłem między Grochowem, Wolą, a centrum. Podczas przerw lunchowych przechadzałem się po podwórkach kamienic, a w weekendy szlajałem po lokalach. Dużo działało się w tym czasie – zarówno w moim życiu, jak i w Warszawie. „Żyćko” to zapis tamtych dni. Tomik jest zbiorem przemyśleń, galerią postaci prawdziwych i lekko podkoloryzowanych, a także urywkami zasłyszanych rozmów i szczyptą mojej bujnej fantazji. Resztę przeczytajcie sami.

IZIMA

Radomski

To był dziwny koniec roku. Pojechaliśmy na Saską Kępę. U Turka nieczynne, bo remont. Poszliśmy więc uliczkę dalej, do Wietnamczyka. Złożyliśmy zamówienie. Oczekiwanie na ostatni obiad roku umiliły nam tyrady Radomskiego. Siedział przy stoliku obok. Wyprasowana koszula, markowy sweter z dyskretnym logo, eleganckie spodnie – sznyt niczego sobie. On zaś cały czerwoniutki. Poprosił o rachunek i wtedy się zaczęło.

– Czy wie może pani, gdzie jest tu najbliższy kantor? – zapytał ekspedientkę.

– Nie, dlaczego?

– No tak... Płaci pani w złotówkach, ja z kolei w dolarach i funtach.

Radomskiemu zdarzało się płacić także w jenach. Na autostradzie.

Łatwo nawiązywał relacje międzyludzkie. Z rozmówcami utrzymywał bezpośredni kontakt wzrokowy. Dosłownie świdrował spojrzeniem.

– Ładne ma pani włosy... Jest pani sama czy z chłopakiem? – rzucił do dziewczyny, która siedziała akurat przy stoliku obok. – Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. Lubię tak czasem wprawić kobietę w zakłopotanie.

W oczekiwaniu na rachunek kontynuował rozmowę z blond niewiastą, która siedziała naprzeciwko niego. Mówił, że ma około czterdziestu lat, że niedawno był na dyskotecę, a konkretnie w klubie Explosion. Nie omieszkał zawołać do kelnera przez pół sali z pytaniem, czy podoba mu się Radom.

– Widzi pan, tak się składa, że pan jest z Radomia i ja też. Tylko inaczej. Jestem Radomski, ale z nazwiska. Pochodzę z Podlasia. Miałem tam ziemię po dziadku. Ale

Radom jako miasto mi się podoba. Można też mieszkać w Warszawie albo we Wrocławiu.

Do stolika dosiadł się, jak to sam określił, „jego żołnierz”, koleżka trochę bardziej wysublimowany. Przez dobre dwadzieścia pięć minut wciągał tabakę na cały nos. W tym czasie Radomski chwalił się, jak to kupił koledze roleksa za osiem tysięcy sześćset złotych. Kolega poprosił go o zegarek, a rozliczyli się przelewem w Western Union. Tak wyszło lepiej. I międzynarodowo.

Jako atrakcyjny mężczyzna Radomski miał powodzenie u kobiet. Na dyskotecę aż się od nich opędał. Kiedy któraś chciała zapędzić go do łóżka, pouczał ją, że na wszystko przyjdzie czas. Mówił, żeby była spokojna. Najpierw chciał poznać jej rodziców, siostrę i brata, a dopiero później ten teges. Podkreślał, że lubi sprawiać kobietom przyjemność, dlatego zawsze przynosi im róże.

Po sekundzie zadumy uśmiechnął się do „swojego żołnierza” i powiedział, że lubi ćwiczyć boks. Sam był mały, ale większego powaliłby uderzeniem bez problemu. Nikt się nie śmiał. W knajpie panowała cisza.

Radomski dużo też mówił o gotowaniu. Codziennie jadał gdzie indziej. Dania szybko mu się nudziły, więc spożywał je rotacyjnie. Raz na dwa tygodnie następowała całkowita zmiana jadłospisu. Gdy pewnego razu złowił szczupaka w Bugu, to od razu dał go na patelnię. Kolejnego dnia jadł w hinduskiej restauracji, a po sylwestrowym posiłku wybierał się jeszcze do kawiarni. Był łowcą, smakoszem i kucharzem w jednej osobie.

Radomski nie lubił nudy, dlatego cały czas mówił. Uśmiechał się do rozmówców. Śmiał się na głos i cicho pod nosem. Wszystko to z jednym wyrazem twarzy – grymasem przypominającym uśmiech przez ściśnięte wargi.

Kiedy przyszedł rachunek, zapytał czy może zapłacić gotówką. Wyciągnął dwudziestozłotowy banknot. Później poszedł do kantoru. Czy wrócił, by zapłacić resztę? Nie wiem. Tyle go widziałem.

Bałwanek jednej nocy

Wczoraj na chwilę zrobiło się białe. Zima zawitała do miasta po raz pierwszy w tym roku. Śnieg sypał nieprzerwanie, a ludzie podchodzili do okien i z zachwytem patrzyli, jak ulice znikają pod błyszczącym puchem.

Uważacie, że Warszawa jest katolickim miastem? Ba, chrześcijańskim w ogóle? Myślicie, że naprawdę wierzymy w Boga? Dobrze się zastanówcie, zanim odpowiecie w duchu na te pytania. Wystarczy odrobina śniegu, by w bogobojnym ludzie obudziły się pradawne odruchy. Głęboko skrywane i jeszcze silniej tłumione, wypełzły na powierzchnię.

Gdy wyjeżdżałem z domu do pracy świeciło piękne słońce. Nic nie wskazywało na potężną zawieruchę, która miała nadejść przed południem. Rano cieszyłem się Warszawą bez zimy, a popołudniem przeklinałem służby oczyszczania miasta. Śnieg powoli topniał i przeistaczał się w tak charakterystyczną dla zimy w mieście breję.

Wjechałem rowerem na parking. Byłem zadowolony, że przejażdżka dobiegła końca, bo naprawdę nie dało się jechać w takich warunkach. Gdy otrząsnąłem się ze stresu podróży, zauważyłem na parkingu pod drzewem grupkę dzieci, które dziwnie się zachowywały.

Piątka małych w kolorowych puchówkach i kombinizonach narciarskich biła pokłony przed ulepionym ze śnieżno-błotnej masy bałwanem. Cała piątka padła na kolana przed fałszywym idolem, ich nowym bogiem.

– Bałwanku Buli, wielbimy ciebie! Składamy ci dzięki, że darowałeś nam śnieg! Panie w przedszkolu mówiły, że zimy już nigdy nie będzie! Nie wierzymy w globalne ocieplenie! Ześlij więcej puchu, żeby starczyło go na śnieżną bitwę! – modliły się monotonnym jednogłosem maluchy.

Stałem jak wryty i patrzyłem.

Po skończeniu modłów dzieci oddały bałwankowi serię pokłonów i wsiadły na stojące obok sanki. W opętańczym pędzie ciągnęły się nawzajem po parkingu. Ich ślady układały się w dziwne koliste wzory, które nawzajem się przecinały. Dziecięce zaprzęgi przyśpieszały. Po kilku minutach sankowej pogoni zatrzęsła się ziemia, a wokół bałwanka Buliego pojawiła się jaśniejsza poświata.

– Jam jest panem zimy! Jam jest waszym panem! – wykrzyknął bałwan.

Dzieci momentalnie przestały jeździć. Wytrzeszczyły oczy, po czym zaczęły krzyczeć. Przerażone pobiegły do swoich mieszkań. W tle majaczyła złowrogo wieża kościoła świętego Wojciecha.

Rano przyszło ocieplenie. Śnieg rozpuścił się, a po podwórkowym bałwanku nie został najmniejszy ślad. Biała zima sobie poszła. Nie brakowało za to błotka. Widocznie taki już los pogańskich bożków.

Napisane zostało: „Nie będziesz oddawał im pokłonu i nie będziesz im służył”. Tak, tak, dzieciaczki. Do kolejnego ataku zimy.

Opierdol

Dwóch budowlańców stało na podwórku ekskluzywnej kamienicy. Byli wyraźnie poddenerwowani.

– Jaki mam przynieść? – zapytał pierwszy.

– Byle jaki. Tylko się pośpiesz. Nie będę czekać całego dnia – odburknął drugi.

Była siedemnasta, a dookoła panowały egipskie ciemności.

Kwiatek do kozucha (albo głośnik do choinki)

Nastał ten czas w roku, kiedy choineczki lądują na śmietnikach. Szukałem miejsca parkingowego na Poselskiej, aż tu nagle wolną przestrzeń postojową wskazało mi bożonarodzeniowe drzewko, a właściwie to, co z niego zostało. Bezpańskie truchło leżało pod zakazem wjazdu na rogu Poselskiej i Nurskiej. Biedne i poźółkle; jego właściciel nawet nie pofatygował się do śmietnika oddalonego o niecałe dziesięć metrów. Ale dzięki temu wskazało mi drogę.

Tak było wczesnym popołudniem. Wieczorem sytuacja znacznie się pogorszyła. Na jednym z podwórek przy Mokotowskiej za fasadą okazałej kamienicy również dogorywały choineczki. Ich sterta leżała pomiędzy trzepakiem, a kontenerami na szkło. Jakaś litościwa dusza przykryła kilka drzewek czarną plastikową folią, żeby przypadkiem nie zmarzły w nocy. Wszystkie znaki na niebie i ziemi mówiły, że noworoczny czas przeminął. Jego miejsce zajęła karnawałowo-wielkopostna pustka. Mariensztacki rynek wciąż błyszczał blaskiem kolosalnej neonowej choinki, ale to już jakoś nie pasowało.

Czasami jednak niepasujące do siebie elementy tworzą całkiem zabawną całość. Przyjechałem na trening judo. W szatni pan szatniarz, emeryt, słuchał Radia Maryja. Z trzuszczącego nadajnika dobiegał głos kapłana. Nauczał, jak żyć i wykorzystać to, co daje nam Pan Bóg. Parę chwil później przekonałem się na własnej skórze, co Najwyższy

dla nas przygotował – ostrą dwudziestominutową rozgrzewkę. Wysiłkowi na macie towarzyszyły również niespodziewane dźwięki. Trener (postawny pan w wieku sześćdziesięciu lat) okazał się fanem ulicznego rapu. „Nie poddawaj nigdy się, ziomuś, słyszysz!” popłynęło z miniaturowego głośnika. Zawodnicy, którzy i tak się nie objali, zaraz dali z siebie jeszcze więcej.

Jednak najciekawszym zjawiskiem, prawdziwym kwiatkiem do kożucha okazał się dresiarz gimnazjalista, którego spotkałem w Żółtych Tarasach. To jemu bezsprzecznie należy się moja nagroda „zadumy i zdziwienia”. Chłopiec miał na sobie czapkę z daszkiem, skarpetki naciągnięte na nogawki bawełnianych spodni i mocno opiętą puchową kurtkę. Na ramieniu zwiślał mu okazały głośnik typu „boombox”. Nie żaden wypierdek, ale działa samobieżnie z donośnym basem. Młodzian nucił pod nosem słowa rapowej piosenki i przechadzał się zamaszystym krokiem między stolikami strefy jedzeniowej. Ja zaś jadłem rybę i patrzyłem. Rzadko kiedy bowiem jest mi dane otrzymać taki bonus w cenie posiłku. Nawet po niższej pracowniczey.

O patelni kserowaniu

Wizyta w supermarkecie w niedzielę wieczorem dostarczyła mi wielu niespodziewanych wrażeń. Wszystko zaczęło się od patelni, która była przeceniona z sześćdziesięciu złotych na trzydzieści. Obniżkę potwierdzała naklejka. Problem pojawił się, gdy kasjerka zeskanowała kod kreskowy, a na wyświetlaczu pokazała się pierwotna cena. Był jednak niedzielny wieczór, a o takiej porze nikomu nie chce się awanturować.

Kasjerka odesłała mnie do działu obsługi klienta. Rządziła tam niska pani o atletycznej budowie ciała i energicznym usposobieniu. Ochoczo i z werwą zabrała się do rozwiązywania patelnianej zagadki. Najpierw poinformowała mnie, że kasjer tylko nabija i nie ma tu nic do gadania oraz że zaraz dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi. Przez telefon wezwała asystentkę z działu artykułów kuchennych, która potwierdziła obniżoną cenę patelni. Wyrok był prosty – klient nasz pan. Obowiązuje cena z naklejki i należy wypłacić różnicę. Kierowniczka działu obsługi klienta energicznym ruchem wyrwała mi patelnię, po czym umieściła ją w kserokopiarce, przykryła pokrywą i wykonała fotokopię niezbędną do udokumentowania sprawy.

Myślałem, że chciała zabrać patelnię, by ją wymienić na inną, ale od razu mnie uspokoiła. Powiedziała, że to normalna reakcja klientów, kiedy zabiera się im towar do skserowania. Z uśmiechem przyznałem, że nigdy wcześniej nie widziałem, by ktoś kserował patelnię. W odpowiedzi usłyszałem, że kserokopiarka ma jeszcze wiele innych zastosowań. Raz posłużyła do skopiowania mięsa na kotlety. Wtedy również pojawił się problem z niewłaściwą ceną. Mięso musiało więc zostać skserowane. Bez kopii kodu kreskowego i paragonu dział kontroli rozpocząłby dochodzenie na szeroką skalę. Szczęśliwie mamy kserokopiarkę, dzięki której wszystko jest skrupulatnie zarchiwizowane i rachunki oraz zwroty się zgadzają. Jaja na patelni będę dopiero smażyć, ale wiem, że jej zdjęcie, niczym skazańca, figuruje w sklepowym archiwum. Kserowanie twardego wołowego to pół biedy. Gorzej z mięsem na mielone – jego proces obróbki termicznej zaczął się już na rozgrzanym blacie kserokopiarce. Dobrze, że dział obsługi

klienta nie zmienił się w restaurację inną niż wszystkie. A może szkoda? W tym centrum handlowym akurat brakuje porządnego baru z hamburgerami...

Powyższa historia nie jest zmyślona. Wydarzyła się naprawdę. Płynie z niej pewien morał – czasem warto zapuścić się gdzieś o nietypowej porze. W niedzielne wieczory całodobowe supermarkety zazwyczaj bywają puste, a ich pracownicy są spragnieni interakcji z drugim człowiekiem. Kiedy wkraczamy w pustą przestrzeń galerii handlowej, wypełniają ją nasze myśli. Dzieje się tak, bo muzyka gra ciszej, a poza tym nikt nie próbuje wyprzedzić nas wózkami, by stanąć w krótszej kolejce przy kasie. Nareszcie możliwe jest skupienie. Gdy wykonujemy tylko jedną czynność – czyli zajmujemy się wyłącznie zakupami – klęska urodzaju w postaci nadmiaru towarów dostępnych na półkach przestaje być udręką. Brak nadmiaru bodźców pozwala wybrać to, co naprawdę chcemy kupić. Z kolei sprzedawca nie czuje presji wyrobienia normy.

Kilka minut przed dwudziestą drugą nastaje czas, gdy powraca ochota na rozmowę. Pogawędka ucięta przy stoisku z warzywami przywraca ludzką twarz odhumanizowanej świątyni handlu. Wracają wspomnienia z osiedlowego warzywniaka, gdzie sprzedawca znał wszystkich z imienia. W supermarkecie nie musimy wprawdzie zapoznawać się z ekspedientem – czyni to za nas plakietka na jego uniformie, ale warto przedstawić się i zagadać, co słyhać w dziale mięsnym. Choć na chwilę wytrąćcie siebie (i jego) z nudy. W zamian być może będzie wam dane skserować mięso. A to już gra warta świeczki.

Spis treści

I ZIMA	5
Radomski	7
Bałwanek jednej nocy	9
Opierdol	10
Kwiatek do kozucha (albo głośnik do choinki)	11
O patelni kserowaniu	12
Ulica Małego Czarka	15
Widać, że z Warszawy	16
Arka Roberta	18
Przekleństwo	19
Karton wieczorową porą	21
Zimowa moda	22
Dziwne myśli	23
Głową w mur	23
II WIOSNA	27
Ostrzenie na Ogrodowej	29
Pan i władca	30
Pogrobowiec	32
Taxi	33
Rapsy z kurczakiem	34
Sen o Wunder-Baumie	35
Ściana zieleni	37
Żyćko	39
Skarpetka	41
Śmierdziuch	41
Mojry	41
Skuteczność	42
Przed domofonem	42
Szefowa z za baru	42
Płaskowarszawcy	43
Wąziutko	44
Azyl	46
Azymut	46

Summertime sadness	48
Między parkami	49
Przerwa w pracy	50
Boruty	50
Rzuć wszystko i wyjedź w Bieszczady	52
Wolski kolarz	52
Dziki Zachód	52
Egzegeza	54
Żoliborz State of Mind	56
Krzaki	57
Green Man	59
Baron z bloku	59
Miasto/poza	59
Nocne powroty Pana Michała	61
Celne uwagi	63
II LATO	65
Perun	67
Szaserów	69
Sezon plażowy	70
Iguana Disco Club	71
Dwa pożary	73
Początek tygodnia	75
Pośpiech	76
Małe Siekierki	78
Old Money	79
Laweciarz Krzysio	79
Korzonki	80
IV JESIEŃ	81
Dyktat kostki brukowej	83
Myślenia w metrze	84
Słonina dla gołąbków	86
Szaruga	88
Wietrzne ścieżki	90
Cola dla Elvisa	92
Pif paf, madafaka!	94
Sztefanek	94
Święty dzień	96

Wielokrotnego użytku	97
Za granicą	99
Budowlana poezja	101
Post scriptum	105
Staś kolega lumpa	107
W punkt	108
Wypędź żyrafę	110
Sen	112
Boskie chipsy	114
Autoportret / Lek na wszystko	115



SEQOJA